

Urszula Suchocka

„Klan wdów”, reż. Ewa Marcinkówna

Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgielki w Białymstoku

„Klan” to słowo chyba dobrze znane Polakom. Przyglądając się rankingom oglądalności przeróżnych polskich seriali to niewątpliwie popularna telenowela pod tym samym tytułem stoi dość wysoko wśród innych telewizyjnych tasiemców. Dlatego też słowo to wywołuje rozmaite konotacje, nie mniej jednak na szczęście nie kojarzymy go tylko z tym serialem. Uff!!! Gdy pada drugie słowo – „wdów” jest już chyba paradoksalnie lepiej. Serial zostaje daleko w tyle... Punkt dla nas. Co myśli przeciętny widz słysząc nazwę sztuki „Klan wdów”? Abstrahuję tu od promocji, która zrobiła już swoje, wylansowała to przedstawienie nawet aż za bardzo, do tego stopnia, że odbiorca miał mętlik w głowie, nie było już miejsca na jego myśli. No cóż, reklama dźwignią handlu... Takie czasy. Ale widz kojarzył to przedstawienie przede wszystkim z jedną osobą – Emilią Krakowską rzecz jasna! I co to by było gdyby jej zabrakło w tym spektaklu? Gdyby jej rolę zagrała inna aktorka, mniej znana, jeśli w ogóle mogą użyć takiego określenia. Nie oszukujmy się, że większość widzów wybrała się do teatru na „Klan wdów” tylko po to, aby zobaczyć znaną i lubianą aktorkę, a notabene występującą w serialu „Na dobre i na złe”. Ups! I znowu serial...

Nie mniej jednak czysta ciekawość zobaczenia tej jakże popularnej osoby zaważyła. A więc taki widz myśli sobie – „Pójdę, zobaczę przynajmniej Emilię Krakowską! Taka okazja może się już nie powtórzyć!” Owszem widz poszedł, Krakowska też była. Przereklamowane przedstawienie zrobiło swoje. Odbiorca szukał czegoś więcej, a tu zonk. Szanuję bardzo panią Emilię, ale z przykrością muszę stwierdzić, że zbytnio to się nie postarała, jeśli chodzi o grę aktorską. Owszem uśmiech ma bardzo ładny, w tych wszystkich okazałych, wykwintnych strojach i kapeluszach również jej było do twarzy. Ale poza tym nie dała nic od siebie, żadnej ekspresji. Mógłby ktoś powiedzieć, że miała taką rolę. Owszem możliwe. Ale w każdą rolę, choćby najmniejszą można włożyć część siebie. Tego mi tu zabrakło. Nie było tej dynamiki, gestu, mimiki. Jednostajny ruch prostoliniowy to nie wszystko. Natomiast muszę tutaj pochwalić aktorki Teatru Dramatycznego, które naprawdę pokazały wysoką klasę. Gdyby nie popularność pani Krakowskiej, nie miałyby ona najmniejszych szans.

Pani Danuta Bach była tu bezkonkurencyjna, grana przez nią postać wiecznie objadającej się i wiecznie przechodzącej na dietę – od jutra oczywiście! – Żanety to istny wulkan energii. Bardzo bezpośrednia, pogodna, mimo życiowych zakrętów tryskająca optymizmem kobieta niewątpliwie wzbudzała w odbiorcy dużą sympatię. Co do pozostałych pań – Aleksandry Maj i Jolanty Skorochodzkiej, które wcieliły się w Marcelinę i Mirellę także należą się słowa uznania. Ich grę aktorską mogę zamknąć w trzech słowach – ekspresja, dynamika, wiarygodność. Zatem wielki ukłon w stronę tych trzech aktorek, na których tle niestety pani Emilia Krakowska wcielająca się w postać Róży, wypadła dosyć blado.

Co przyciągało widza w tym spektaklu? Niewątpliwie sceneria, dobrana bardzo gustownie, oddawała w pełni klimat przedstawienia, szczególnie dość przyjemnie patrzyło się na kolorowe, świecące lampki. Natomiast szkoda tylko, że cała akcja rozgrywała się w jednym pomieszczeniu. Można było nieco to urozmaicić, chociażby przenosząc akcję do domu pogrzebowego – co dodałoby jednocześnie trochę grozy, ale i na pewno realności.

Mam jeszcze jedno „ale” co do tego przedstawienia. Otóż momentami było ono jednak trochę przynudzające. Może to zbyt ostre słowo jak na spektakl takiej rangi, ale jestem zdania, że jednak „Klan wdów”, co jeszcze raz podkreślę, był za bardzo przereklamowany. Wielkie wydarzenie – Emilia Krakowska w Białymstoku, na deskach Teatru Dramatycznego!

Owszem to mogło robić wrażenie. I trzeba było obejrzeć ten spektakl, choćby z tego powodu, że wszyscy naokoło o nim dyskutowali. Nie wypadało więc go nie zobaczyć na własne oczy. Co stałoby się w przeciwnym wypadku? Już odpowiadam na to pytanie: bycie zwykłym chamem nie jest w modzie, a nieoczytani i niekulturalni są po prostu gorsi. Taka prawda,

brutalna, ale jakże rzeczywista, samo życie. Wszystko koncentrowało się wokół jednego wydarzenia, którym była śmierć męża Róży, reszta to praktycznie same dialogi rozgrywane przez tytułowy klan wdów z małym męskim wyjątkiem. I znowu się przyczepię: gdzie ta dynamika, gdzie wyrazistość, dlaczego tak mało ruchu, gdzie ta wiązka światła?

Krytykować łatwo, ale należy też docenić zalety tego spektaklu. Nie jest on najgorszy, ale według mnie czegoś w nim brakuje. Dużo jest też dobrych stron. No właśnie, jakie są więc te plusy? Do nich należą wspomniane przeze mnie wyżej dialogi, które dawały okazję do śmiechu, do oderwania się od codziennych trosk, problemów i przeniesienia się w inną, teatralną rzeczywistość. Oprócz radości, śmiechu to także okazja do refleksji, do zastanowienia się nad światem i otaczającymi nas ludźmi, to doskonały portret współczesnej kobiety, który paradoksalnie tworzą panie, wdowy. „Klan wdów” jest dobrą okazją do zafundowania sobie odrobiny rozrywki, przedstawienie na pozór bez głębszego sensu serwuje odbiorcy porcję humoru, zabawy, zapomnienia. Jednak nie do końca jest ono luźne, bez głębszej warstwy, bez żadnego przesłania. Ta myśl przewodnia jest - tylko ukryta. A co widz wyniesie z teatru, to zależy tylko on niego. Koleżanki Róży tryskające temperamentem i nie poddające się, mające ochotę do walki z przeciwnościami losu to wyrafinowane kreacje aktorskie. Do tego należy dodać dialogi nie pozbawione przesłania czy ciekawą scenerię. To rzecz jasna walory tego spektaklu.

Ewa Marcinkówna mówi o wyreżyserowanym przez siebie przedstawieniu, iż jest to „słodko-gorzka” komedia. Te dwa przeciwstawne słowa chyba najdobitniej wyrażają cały charakter „Klanu wdów”. Stwierdzenie jak najbardziej trafione, a czy przedstawienie trafione w przysłowiową dziesiątkę? Zostawiam to każdemu z osobna...